

*Chociaż ty możesz usłyszeć śmiech, wirujący,
szalejący, obłąkany
w słońca promieniach
To nie jest on skierowany do kogokolwiek, to
tylko ucieczka biegiem
pod niebem co nie jest ogrodzone płotem*

Genialność Dylana polega między innymi na tym, że potrafi wymyślać wspa- niałe metafory czy porównania, jego wyobraźnia jest zdolna do kreowania rzeczy, które w wielu przypadkach są sobie przeciwne jak w tym przypadku niebo i płot, czy ogrodzenie nieba.

Czwarta zwrotka na osiem wersów

Jest najbardziej surrealistyczna i przetłumaczyłem ją w całości. Do niej odwołują się zwolennicy narkotyków uważając ją za swój argument w „walce” z przeciwnikami, że tak nie jest. Ta zwrotka ma być dowodem, że się nie mylą, ale czy rzeczywiście tak jest, trudno jest jednoznacznie osądzić.

Pierwsze cztery linijki tej 8-wersowej zwrotki są zupełnie „odlotowe”, w niej podmiot liryczny prosi Pana Tambourine, aby zabrał go (ze sobą) poprzez pierścienie dymne umysłu, ruiny mglistych miast, zamrożone liście przeszłości, drzewa przestraszone, nawiedzone, na wietrzną plażę, daleko od zasięgu pokręconego, szalonego smutku. Znowu jest smutek, ale pamiętamy, że melodia jest wesoła.

Druga część czwartej zwrotki też jest surrealistyczna i nawiązuje do „Lucy in the Sky with Diamonds” – piosenka zespołu The Beatles, skomponowana przez Johna Lennona i Paula McCartneya. Czy podejrzenia są słuszne, dokładnie nikt nie wie. Lennon zapytany przez dziennikarza, czy „Lucy” została napisana pod wpływem środków odurzających, podobnie jak Dylan stanowczo temu zaprzeczył.

*Tak, tańczyć pod niebem diamentowym, machaj
jedną wolną ręką
zarysowanej na plaży mej sylwetce, określonej
poprzez piasek cyrkowy
Ze wszystkimi wspomnieniami i
przeznaczeniem głęboko
ukrytym pod falami
Pozwól mi zapomnieć o dzisiaj aż do jutra.*

W tej ostatniej zwrotce *Pan Tambourine Człowiek* zamienia się w klauna tańczącego pod diamentowym niebem na plaży morza ale na piasku pochodzącego z cyrku, (circled by the circus sands). W balladzie tej Dylan odmalował muzyką i słowami człowieka, za którym tęsknił, który przybrał postać miejscowego grajka, może nawet „wiejskiego głupka”, barwną osobę z amerykańskiej prowincji, wędrownego muzyka, może nawet włóczęgę za którym jego serce tęskniło, bo tego w jego codzienności mu brakowało. *Mr. Tambourine Man* jest jeszcze jednym

paradoksem w bogatej twórczości laureata Literackiej Nagrody Nobla za rok 2016, paradoksem groteskowo-surrealistycznym mówiącym o losie człowieka, wędrownego hippisa „dziecka kwiatów” szukającego szczęścia poza „zdrowym społeczeństwem”.

Jak większość tekstów Dylana ta ballada jest na język polski nieprzetłumaczalna. To co tutaj zrobiłem to jest interpretacja wybranego przeze mnie tekstu (fragmentów) a nie jego przekład. Utwór kończy się tak jak rozpoczął refrenem. Jednak najbardziej wymowną rzeczą jest wielkość tego utworu i to, że jak Dylan twierdził, to jest tylko jedna z jego piosenek, on spróbuje „zrobić kolejną” w tym samym duchu. Przez prawie 60 lat nie udało mu się tego zrobić, co pokazując, jak wyjątkowo udany był ten utwór (3).

Źródła:

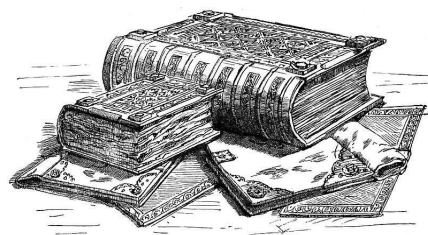
Pisząc tę krótką analizę korzystałem z wielu źródeł m.in. z Encyklopedii Britannica:

(1) *Mr. Tambourine Man*. By Richie Unterberger. *The Rolling Stones*. May 8, 2012.

(2) *AZ Bob Dylan Lyric*.

(3) *The Life of a Song: 'Mr Tambourine Man'*. by Richarda Clayton'a. *Financial Times*. July 25, 2016.

Adam Lizakowski, przebywa poza granicami kraju od 1981 roku. Wydał 16 tomów wierszy. Tłumacz poezji amerykańskiej, m.in.: Walta Whitmana, W.C. Williamsa, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Carla Sandburga. Także z angielskiego przełożył ponad 50 wierszy chińskiego filozofa i poety Lao Tse, oraz wiele wierszy perskiego poety z XII w. Rumiego. Studiował na Columbia College Chicago (BA) i Uniwersytecie Northwestern w Chicago (MA) creative writing – poetry.



Przepraszam, że z wiatrem odchodzę

Jakie może być wspomnienie o poecie, który do poezji podchodził z jakąś niesamowitą i nabożną czcią, który w każdym wersie widział pewien rodzaj olśnienia i wreszcie, który bezpretensjonalnie dzielił się swoją łagodnością z otaczającymi go ludźmi oraz światem? Czy takie wspomnienie jest w ogóle możliwe, czy taka

refleksja będzie adekwatna i w ogóle odda istotę tej osoby?

Nieprawdopodobnie ucieleśniło się i **Maćka Naglickiego** nie ma już z nami. Poszedł odważnie do przyjaciół. Podążył do swego druha Ryszarda Rodzika. Odważnie popłynął do matki poetów Hanki Kajtochowej oraz podryfował żwawo do wszystkich innych poetów, dla których skończył się już ten świat, a rozpoczął chmurny parnas naszej niepamięci, albo też świetlisty Olimp naszego zachwytu. Popularność na pstrym koniu siedzi, a Maciek nigdy o nią nie dbał, ba, powie- dzieć tak, to niczego nie powiedzieć, Maciek bowiem popularnością, sławą, blich- trem i wystawnością wręcz gardził, z całym dystansem swej łagodności oraz swą, wspomnianą już uczciwością wobec słowa i jego objawów.

Maciek Naglicki słów używał bardzo delikatnie. Niebanalnie. Szczerze. Używał ich jak się używa ukochaną księgę, na karty której się wciąż powraca, której całe fragmenty wciąż od nowa się odczytuje i którą się delectuje żonglując pochłanianym kontekstem, ciągle inaczej odczyt- waną istotą, prawdą zawartości i szeroko widzianym przesłaniem. Maciek słowa szanował. Wiedział, że za każdym z nich stoją czyjeś: cierpienia, emocje, radości i smutki oraz coś, czego się wypowiedzieć i zapisać nie da i nigdy nie uda. Maciek – ...a właściwie Jego brak, to jak wyrwanie z nas jakiejś części duszy, jak unicestwienie pewnej prawdy o nas samych, to jak jakaś niezapowiedziana katastrofa, która nie miała się jeszcze wcale prawa wydarzyć ...

Kiedy umiera poeta, umiera świat – to francuskie powiedzenie przywołane w wywiadzie przeprowadzonym przez Andrzeja Dębrowskiego z Wilhelmem Przeczkiem doskonale oddaje każdą kolejną „poetycką” śmierć...

Kto wie, może z naszej dogłębnie partykularnej perspektywy też właśnie Śmierć określa nad wyraz dosłownie?

Bo kiedy umarł poeta Maciej Naglicki, umarł jakby kawałek Krakowa i jego wyjątkowego środowiska literackiego. Bo kiedy umarł poeta Maciej Naglicki, zakończył się jakby pewien etap istnienia kolejnego trybu aktywnego i oddanego innym poetom ludzi: przeźroczytych, przema- kalnych, potrafiących wchłaniać czyjąś twórczość i nie skupionych jedynie na słowie swoim, a właśnie zasadniczo w twórczości obcych dostrzegających ratunek i zbawienie? (dla świata, dla tego świata)... Bo kiedy umarł Maciek, to w Krakowie nic już nie będzie takie samo.

Powie ktoś – za duże słowa, zbyt ogromne, za dużo patosu, monumentu, a Maciek przecież nawet przy nim nie stał... Tak, z pewnością. Zasadniczo wypada się z tym zgodzić. Choćby z uwagi na Maćka skromność i wycofanie.

(Dokończenie na stronie 10)